Lwów, 4. Lipca | Nr 79. | Rok 1854.

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesieczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po $1\frac{1}{2}$ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

DZIWO - ŻONA.

Powieść spółczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

II.

(Ciąg dalszy).

Więc jedną z tych figur był xiądz już niemłody, słusznego wzrostu, który trzymając kapelusz w ręku, z dziwnie ożywionemi ruchami wykładał coś swemu towarzyszowi. — Szedł on bardzo wolno i zdawało się, jak gdyby się zatrzymał umyślnie, ażeby mógł skończyć rozpoczęty swój wykład. Twarz jego była obdłużna, oczy duże, piwnego koloru, rysy proste i regularne, czoło wysokie, wypukłe, ocienione resztkami jasno blond włosów. Lecz z całej tej twarzy bił taki rozum, z oczu wyglądało tyle bystrości i życia, a na czole siedziało tyle poważnych myśli, iż dosyć było raz rzucić wzrokiem na tę twarz wyrazistą, ażeby być pewnym tego, że w tej głowie musi być tak jasno, jak w dzień letni słoneczny. Towarzyszem jego był młody, zaledwie ośmnastoletni chłopczyna. Ten był wzrostu średniego, uderzająco okrągłych form ciała, ale w całej figurze przebijała się jakaś taka skromność, taka nieśmiałość a nawet potulność, iż zdawało się, jak gdyby po raz pierwszy dopiero był w mieście i nie wiedział, jak ma obracać się między ludźmi. Miał on popielaty surducik na sobie, kołnierzyk biały, wywinięty szeroko na surdut, popielate pantaloniki i popielaty kaszkiecik, który ustawicznie miał w ręku. Twarz jego była niepospolicie piękna, świeża jak kwiat dopiero co rozwinięty, ale jeszcze aniołkowata zupełnie, na której zdawało się nie być jeszcze żadnego wyrazu. Twarze takie są jak czyste karty welinowego papieru, na których czas, doświadczenie i życie mają dopiero stawiać swoje niezmazane litery. Twarz ta wszakże zdawała się być już bardzo niedaleką od tego, bo jej duże, ciemno-niebieskie oczy, lubo zdawały się być bez blasku i niby mgłą obleczone, przebijały jednak przez tę gazę cieniuchną ową siłą duszy i serca, która może jeszcze teraz była w uśpieniu, jednak już dawała nieomylne znaki swojego bytu. W tych oczach nawet może-by było można jeszcze daleko więcej wyczytać, gdyby nie to, że ich właściciel spuszczał je ustawicznie ku ziemi a chociaż je podniósł, to jego źrenice tak mało patrzały na zewnątrz, że zdawały się być odwrócone i zatopione w głębiach własnej duszy i jej bujnych marzeniach, piękniejszych zapewne i żywszych, niżeli świat prozaiczny ówczesny, kulący się pod smutkami niedawnych nieszczęść i unikający z bojaźnią ich bolesnego wspomnienia.

Na przybycie gości pani Sieniawska z córką powstały z darniowej ławeczki, a podczas kiedy młodzieniec stanął z oczyma spuszczonemi o podal, xiądz bliżej przystąpił i spytał:

— Czy tu mieszka pan Dominik Sieniawski?

— Tutaj mieszka — odpowiedziała matka, — i zaraz panom służyć będzie, jeżeli sobie tego życzycie.

— Bardzo o to prosimy — rzekł na to xiądz z grzecznym ukłonem. A wtem wystąpił nagle z za agrestowego szpaleru sam pan Dominik i stanął przed niemi.

Na widok jego i xiądz i jego towarzysz odskoczyli, jak gdyby przestraszeni, w tył o dwa kroki, i spojrzeli z zadziwieniem po sobie. Lecz starając się jak najprędzej pokryć to niezgrabne znalezienie się swoje, przystąpili czemprędzej do zamierzonej rozmowy:

— Czy mamy zaszczyt mówienia z panem Sieniawskim? — spytał xiądz, przystępując z ukłonem do archiwisty.

— Tak jest, bezwątpienia — odpowiedział tenże uchylając czerwonej z kutasem furażerki, — ale czegóżeście to asaństwo tak mnie się przelękli? czym ja się tak strasznym już zrobił na starość? czy mój nos was przestraszył?

— Nie, mości dobrodzieju, ani jedno, ni drugie, — odpowiedział xiądz prędko, — ale waćpan dobrodziej tak jesteś podobnym do ojca oto tego właśnie młodzieńca, żeśmy na pierwszy rzut oka myśleli, że to on sam ku nam z tego agrestu wystąpił.

— Hm! — mruknął na to archiwista, — a gdyby nawet i tak było w istocie, to jeszcze nie mieliście się asaństwo czego przestraszać i odskakiwać.

— Waćpan dobrodziej masz słuszność zupełną — poderwał znowu xiądz prędko, — to też przepraszamy go jak najmocniej, zaręczając iż tę niezgrabność popełniliśmy pomimo woli.

— Hm! — mruknął jeszcze raz pan Dominik, — Haniu! przysuń-no panom krzeselka..... proszę siadać, bardzo proszę..... i cóż to asaństwo do mnie sprowadza?

— Najpierwej pozwolisz nam waćpan dobrodziej, — rzekł xiądz, usiadając na małem ogrodowem krzeselku, — przedstawić mu się, kto jesteśmy. O mnie tu wcale nie

chodzi. Ja jestem xiądz Augustyn, proboszcz łacińskiego obrządku i na tem dosyć, a to jest pan Kamil Łaski, syn mojego sąsiada, przyjaciela i kolatora, absolwowany gimnazyalista Stanisławowski i tam *primus praemio donatus,* a od wczoraj słuchacz pierwszego roku filozofii tutejszej.

— Łaski? proszę! — przerwał pan Domik z znaczeniem, a tymczasem xiądz ciągnął dalej:

— Otóż ojciec pana Kamila, który już jest człek nie dzisiejszy i od lat kilku wcale się z domu nie rusza, powierzył mnie swego jedynaka, ażebym go zawiózł do Lwowa, wpisał na akademią, zaopatrzył we wszystko co trzeba i przyzwoicie umieścił. I wszystko to resztę już się uskuteczniło, ale z umieszczeniem, przyznam się asańxstwu dobrodziejstwu, tak jakoś trudno w dzisiejszych czasach, że ot już się i kolegia zaczęły a mój pan Kamil jeszcze ze mną w gospodzie.

— Czemuż to tak trudno? — spytała pani Sieniawska ciekawie.

— Trudno....— odpowiedział spytany, — bo krótko mówiąc, gdzie-by było dobrze, tam drogo, a gdzie za mierne pieniądze, tam znowu mnie nie dogodnie.. Może ja jestem za nadto wybrydny, ale mam ja słuszne powody do tego, bo wiem z doświadczenia, jak przeważny wpływ na życie człowieka wywiera to wszystko, co go otaczało w młodości. Dowiedziawszy się atoli o domu asańxstwa dobrodziejstwa i rozmówiwszy się z tymi, którzy mieli szczęście stać u nich po lat kilka, i ja nie mogę nic innego powiedzieć, jak tylko, że miał-bym to sobie za szczęście, gdybyście asańxstwo dobrodziejstwo przyjęli do siebie syna mojego przyjaciela.

— Łaski! Łaski!— odezwał się na to pan Dominik, który dotychczas w ciągłem był zamyśleniu i zdawał się nic koło siebie nie słyszeć. — Łascy była to wielka niegdyś familija. Pochodzili z Radliców, pieczętowali się Korabiem, jak świadczy Paprocki. Wielcy mężowie rodzili się w tym domu. Hieronim, Wojewoda Sieradzki, był plenipotentem Jana, króla węgierskiego, na dworze Solimana, potem rządcą był Siedmiogrodu, człek sławny i znakomity, tak w Węgrzech jak w Polsce. Albrycht, wojewoda Płocki, później Sieradzki, a Zakroczymski i Mławski starosta, pan niezmiernej hojności i wielkiego animuszu. Na same podróże wydał milion dukatów, Alexandra wojewodę wołoskiego z państw wygnał a Heraklidesa Jakuba despotę osadził, anno 1563, za panowania króla Zygmunta Augusta. Byli potem jeszcze i inni, ale na protestacyi przeciwko rokoszanom z roku 1607, którą mam w kopii w mojem Archiwum, w szafie trzeciej, na półce drugiej, pod numerem LII, po raz ostatni figuruje ich imię. Hieronim i Olbrycht, wojewodzicowie Sieradzcy byli ostatnimi potomkami tego sławnego domu. Skądże znowu tu jakiś Łaski wyłazi w Stanisławowskiem?...

Na takie zapytanie, którego nikt zapewne się nie mógł spodziewać od ubogiego mieszczanina ze Sieniawszczyzny xiądz dziwnem okiem spojrzał na pana Dominika, lecz posmutniawszy zarazem na twarzy, co się zdawało być skutkiem zawiedzionych nadziei, umilkł i nic nie odpowiedział. Pan Sieniawski także spojrzał na xiędza, lecz wzrok swój dłużej na nim zatrzymał, zdawał się badać go pilnie przez chwilę, a dojrzawszy jego konsternacyi i wziąwszy ją za dowód prawdziwości jakichś swoich podejrzeń, uśmiechnął się ironicznie i odchrząknąwszy, tak rzecz swą zakończył:

— Jegomość dobrodziej powiadasz, że ojciec tego młodzika oddał go Jegomości w opiekę, że młodzik dobrze się uczy i jest *praemio donatus.* Jegomość bardzo trudny jesteś w wyborze pomieszczenia dla swego pupilla, to wszystko, nie przeczę, bardzo mi się podoba.... Ale ponieważ i ja jestem także wybrydny w wyborze studenta, którego mam przyjąć do mego domu....: więc..... nie przyjmę tego młodzika do siebie.

Podczas tej powoli wygłaszanej odpowiedzi pana Dominika, żona jego i córka patrzały w twarz jego jak w tęczę, a z ich wzroku wytężonego i ust na połowę otwartych nie trudno było odgadnąć, z jaką niecierpliwością wyczekiwały ostatnich słów tego wyroku. Wszakże zdaje się iż musiały się obydwie wcale odwrotnej odpowiedzi spodziewać, bo kiedy pan Dominik wyrzekł straszne słowo „nie przyjmę,“ i matka i córka zerwały się tak nagle z ławeczki, jak gdyby były piorunem rażone. Pani Sieniawska jednak w jednem mgnieniu oka odzyskała pozorną może tylko, lecz zawsze dostateczną przytomność, i wziąwszy męża pod ramię, rzekła do niego półgłosem:

— Proszę cię mężu na słówko.

Nie dając mu czasu do odpowiedzi, podała mu natychmiast rękę i odprowadziła do agrestowego szpaleru a jak tylko się znalazła w takiem oddaleniu od grupy, że nie mogła być przez gości słyszaną, zaczęła do niego w ten sposób:

— Przepraszam cię mój mężu, żem cię odprowadziła od gości, ale to już inaczej nie mogło być. Wiesz dobrze że ci się w niczem nie sprzeciwiam, zawsze wszystko zastosowuję do twojej woli i nawet powstrzymuję się od własnych uwag, które by także czasem mogły być słuszne, — ale teraz niepodobna mi milczeć. Zmiłuj się, co ty robisz, odprawiasz studenta, po którym już pewnie żaden się w tym roku nie trafi. I czegóż też ty chcesz od niego? Zdrów, przyzwoicie ubrany, syn porządnych rodziców, był premiantem w Stanisławowie, i do tego jeszcze taki potulny, jak gdyby i trzech zliczyć nie umiał. Na pierwszy rzut oka widać, że same cnoty w nim skojarzone, cóżeś ty w nim upatrzył?...

— Co kobieta może sądzić o przymiotach mężczyzny! — odpowiedział na to pan Dominik z flegmą i ironią,— *passivum de activis!* Tobie ani się śni, co tam za podejście jest w tej całej historyi. Dosyć powiedzieć, że się nazywa Łaski, a Łascy przed stu dwudziestu laty już wyginęli do szczętu. O!..... a kiedy dodam do tego, że go przyprowadza ixądz *ritus latini,* proboszcz z parafii, któren niby-to go

ma powierzonym swojej opiece i wyborze pomieszczenia dla niego wybrydniejszym jest jeszcze niż każden ojciec rodzony.... o!..... to ja już mam dosyć..... i wiem już dobrze, co to za dziecko jest taki Łaski. Takich dzieci ja nie przyjmuję do siebie!

— Ale mój Domku — zagadnęła prędko pani Sieniawska, — skądże znów w tobie takie urosło podejrzenie! Ja temu nie mogę uwierzyć, to mi się całkiem nie zdaje...

— Ale mnie się zdaje i dla tego nie przyjmę go za nic do siebie.

— Zmiłuj się Domku! to pokoik nas już pewnie próżnym zostanie na cały rok! A taki dobry student nam się trafia..... to staraj-że się przynajmniej o tem przekonać..... każ sobie pokazać świadectwa, obejrzyj metrykę.....

— Dla zaspokojenia twego obejrzę... ale... na nic to się nie przyda, ręczę za to, bo znam ja się na dokumentach, ale znam się także na ludziach...

— Ale jeżeli metryka dobrze zaświadczy, to nie będziesz już miał nic przeciw niemu? — podchwyciła pani Sieniawska.

— Bez wątpienia, mieć nic nie będę.... Ale na co nam tutaj jakichś Łaskich do domu... o których nic a nic od stu lat nie masz w archiwach..... Głowę sobie łamać nad kwestyą ich pochodzenia?.. Czy nie dosyć-to mam już kłopotu ze Sieniawskiemi?...

Tak gderając pan Dominik powrócił wolnym krokiem pod gruszę i usiadłszy na dawnem swem miejscu, znowu się ciekawem okiem wpatrzył na chwilę w xiędza, zaglądając przytem po raz i drugi w oczy stojącemu w milczeniu Kamilowi, i usiłując zbadać zapewne, ażali pomiędzy temi twarzami nie masz jakiego podobieństwa. Atoli xiądz, który nie wiedząc co to wszystko ma znaczyć, siedział przez cały ten czas jak na szpilkach, nie dał mu długo zabawiać się tą krytyczną zabawką, i spytał go po raz ostatni, czy się decyduje przyjąć Kamila do siebie, czy nie?

— Hm!... — odpowiedział na to pan Dominik, przeciągając furażerkę swoją z prawego ucha na lewe, co zawsze miał zwyczaj czynić przy swoich badaniach krytycznych, kiedy mu się daty wprost skrzyżowały; — hm!..... ja to mam zwyczaj od najdawniejszych czasów, nim się zdecyduję przyjąć w dom mój młodzieńca, zapewnić się z dokumentów tak o jego pochodzeniu, jak i o prowadzeniu się w szkołach.....

— Ach! jeżeli tylko o to chodzi — przerwał z niecierpliwością opiekun Kamila, to możesz waćpan dobrodziej być zadowolonym w ten moment.

To mówiąc wydobył jednocześnie z kieszeni sporą paczkę papierów i złożył ją na wyciągniętą dłoń archiwisty, który zamiast się zaraz wziąć do ich przeglądnienia, złożył je tymczasem na ławeczkę przy sobie i rzekł z flegmą do córki:

— Haniu! przynieś-no mi okulary. (D. c. n.)

WYJĄTEK Z DRAMATU „UKRAINKI."

Akt III. Scena ósma.

Włodzimierz i Wojewoda.

(Wojewoda wchodzi niosąc w ręku pistolet i duży papier zwinięty, który kładzie na stole, gdzie jest już atrament i pióro.)

Wojewoda.

Jak się masz Włodziu! Cóż to tak ponury?
Dziś być nie mogą na twem czole chmury.
Synu mój! dziś cię tak mogę nazywać.

Włodzimierz.

(wzruszony.)

Ojcze! nie mogłem się nawet spodziewać,
Byś mnie już nazwał tem drogiem imieniem,
Co mi po matce jest świętem wspomnieniem,
Lecz nie po ojcu; jam miał li ojczyma,
I dziś, myślałem że w mem sercu niema
Uczuć dla ojca. — W tem zabrzmiała strona,
Długo, tajemnie w duszy wypieszczona,
I tem mi dźwięczniej teraz się rozpieśni,
Im mi sieroctwo znieść było boleśniej,
Więc ja mam ojca! Jam synem nazwany!

Wojewoda.

Jak syn rodzony, sercem ukochany.

Włodzimierz.

(obejmuje kolana ojca.)

Panie i ojcze! Błogosław mą głowę,
W to cudne, jasne szczęścia życie nowe,
Niech za Helenę, za kochania wiano,
Kornie ojcowskie uścisnę kolano.

Wojewoda.

(podnosząc go.)

To co wam życzę, niech wam Bóg użyczy,
Lecz i o innych interesach trzeba
By nam pomówić, bo oprócz słodyczy
Małżeńskich, trzeba państwu młodym chleba.

(śmieje się.)

Trzeba pomówić trochę o majątku;
Bo.... choć to niczem zdaje się z początku,
Wiedz że jej wiano jest nie wielkie wcale...

Włodzimierz.

Ojcze mój, proszę cię na wszystko...

Wojewoda.

Ale
Wiesz że nie wszystko złoto co się świeci.

Włodzimierz.

Daj pokój temu, o przyszłość twych dzieci
Bądź-że spokojny, my dość mieć będziemy.

Wojewoda.

To o czem innem trochę pomówimy.
Pamiętasz pewnie te nasze układy;
Że wszystkie kroki twe w publicznej sprawie
Kierować będą odtąd moje rady,

(z mocą i znaczeniem.)

Prawem że moje rady będą prawie.

Włodzimierz.

Tak jest mój ojcze. Rozum, doświadczenie,
Daleko lepiej to wszystko rozważy,
Niż młoda głowa, i młode sumienie,
I młode serce gdzie się czucie żarzy,
A to mój ojcze wielka, trudna droga!
Nie tylko bogactw, zaszczytów, wielkości,
Ale to droga prawdziwej wolności,
Do szczęścia kraju i do łaski Boga.

Raczże mi podać twą rękę pomocną,
Prowadź tą drogą, abym w chwilę nocną,
Błędny nie upadł.

Wojewoda.

Chodź za mną bez trwogi;
I dziś na wstępie do tej życia drogi,
Napisz twe imię, w świetnych imion rzędzie.
Moje już jest tu.

(Rozwija leżący papier i podaje mu pióro. Włodzimierz porywa pióro, chce podpisać, ale zaczyna czytać, miesza się. zdziwiony kładzie pióro, papier trzymając.)

Włodzimierz.

(stanowczo.)

Mego tu nie będzie.

Wojewoda.

Jak to, nie będzie?

Włodzimierz.

O nigdy — na Boga,
I toż to ta jest wskazana mi droga?
Nie — ja się mylę, to mnie sen tak mami!
(rozwija znowu papier i czyta.)

Wojewoda.

Czemuż nie miałbyś ty przystąpić z nami
Do tego związku, co się zawiązuje,
Pod najjaśniejszej Carowej zasłoną,
Ona nam wszelką pomoc obiecuje,
I nasz król dobry przystępuje pono.
On to pochwala, zrobił nam nadzieję,
Że jego imię tutaj zajaśnieje.

Włodzimierz.

Ja bym się poddał opiece Carowej?

Wojewoda.

Polak na wszystko zawsze jest gotowy,
Dla swej ojczyzny. Choćby i szatana
Pomocy wezwać, uznać go za pana,
I duszę swoją oddać mu w niewolę.

Włodzimierz.

(kładąc papier.)

O kto złe ziarno sieje na swą rolę,
Zły plon mieć będzie. A ta pomoc wroga,
Pomoc szatańska na złe wyjść nam musi,
To tylko zły duch łudzi nas i kusi,
Aby się wyrzec ojczyzny i Boga.

Wojewoda.

(niecierpliwie.)

Ej kto tam będzie chciał na marzeń skalę,
Mierzyć czyn życia.

Włodzimierz.

Ależ Panie..

Wojewoda.

Ale,
Innego dla nas ratunku już niema,
A wiesz, tonący i brzytwy się trzyma!
Rzeczypospolitej upadek już jawny,
Ledwo czasami błyśnie splendor dawny,
Jak na wytartym pasie nitka złota!
Gdzie dawne męztwo?. gdzie publiczna cnota?..
Wszystko w nic poszło, wszystko się rozprzęga
W kawałki leci, jak ciało bez duszy;
Jedna jest tylko na świecie potęga,
Co naszą nawę uchroni rozbicia;
Ku tej zatoce, do portu zbawienia,
Tę skołataną łodź trzeba kierować.
Na któreż państwa, na któreż to strony,
Możemy jeszcze choć trochę rachować?
Turek, bisurman, krwi chrześcian chciwy;
Krzyżak niewdzięczny, chytry i zdradliwy,
Francya nas zwodzi i Anglia nie szczera,
Jedna też Moskwa z litością spoziera.

Włodzimierz.

Oh! piękna litość! Że rojem się snują,
Nasze świątynie i włości plondrują,
Że przez nich zakon praw sponiewierany,
A kraj nasz «karczmą zajezdną" nazwany!

Wojewoda.

Ale bo mamy najlepsze nadzieje!
Niechaj Carowa ujrzy już spokojną
Przyjazną Polskę, niech się krew nie leje,
W domowych wojnach, a sprawców tej zmiany,
Nagrodzi ręką aż do zbytku hojną
Z resztą, twem słowem już jesteś związany....

Włodzimierz.

Ja mojem słowem?

Wojewoda.

Trzebaż ci na nowo,
Powtarzać, że mi przecie dałeś słowo,
Zanim na związek z Heleną przystałem?..
Księciu Posłowi o tem napisałem,
I wszystko w twojem przyrzekłem imieniu,
Lecz teraz — nie myśl-że o ożenieniu,
Tylko uciekaj. Za niedotrzymanie
Grozi ci może więzienie, wygnanie,
Za nic nie ręczę, może jeszcze gorzej,
Repnin jest strasznym kiedy się rozsroży.

Włodzimierz.

A dobrze, niech mnie swą psiarnią poszczuje,
Schwyci, do taczek w fortecy przykuje,
Niech mnie na lody sybirskie zawleką,
Bo tam już będę pod carską opieką.
Lecz się nie zlęknę ni groźby, ni kary,
Ani odstąpię mej poczciwej wiary.
(chodzi po pokoju w gwałtownem zburzeniu.)

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PIEŚŃ ŻYCIA.

Fragment

przez **J. I. Kraszewskiego.**

(Dokończenie.)

Śpiewając brat rozmarzony, rozkołysał tak kolebką, że aż niania gdy spostrzegła, przestraszona przyleciała, żeby nie zbudził dzieciny. — Brat z bata klasnął i pojechał w pole; ona tuli zbudzonego i swoją nuci piosenkę:

«Spij moje kochanie, tul oczki niebieskie, a nie marszcz mi czółka, a nie krzyw mi ustek... Patrz! sen idzie mimo domu, do ciebie wstąpi w gościnę, czy pijany, czy zdrzemany, ale ledwie nogi wlecze. Chwała Bogu, usiadł w progu, białą szatą się otulił, coś zanucił, główkę schylił, chce odpocząć w naszej chacie. Cicho! snu nieodpędzajmy, gość to drogi w całem życiu. Czyją chatę on omija, biada ludziom, biada chacie, bez snu i szczęscie nic-potem, i nie naje się człek dolą, schnie, wysycha, ziewa, nudzi się i

umiera. I snu nie zakupić złotem, nie wymodlić go prośbami, nie przywabić go muzyką. Gdzie chce swobodny on leci, czasem w lesie przenocuje, choć drzewa szumią nad głową, czasem w polu gdzieś na miedzy, czasem i do wsi zawita, a jak słoneczko zagrzeje, gdyby lodek roztopnieje. Znów wieczorem o zachodzie, czy spadł z rosą, czy go ptak przyniósł pod strzechę, czy na białym przybył koniu, witaj gościu! prosim, prosim! chodź do chaty, do dzieciny, do kołyski. Wlecze, wlecze się ulicą, czy pijany, czy zdrzymany, ledwie nogami dźwiga, szuka gospody sobie, a gdzie na drzwiach krzyż zobaczy, puka, żądając noclegu.... Inne drzwi stały otworem, i stoją próżno noc całą, czary z nich starły krzyżyk, sen nie przestąpi progu....

—«Co też to ty śpiewasz nianiu, przerywa jej kapłan stary. — Czy tak masz śpiewać dziecięciu? Nie o gusłach, nie o czarach, nie o pogańskiem snu bóstwie; śpiewaj o betlejemskim mu żłobie, śpiewaj wcześnie o Golgocie. Nie zaszkodzi gdy choć we śnie Chrystus nawidzi dziecinę, modlitwa ją ukołysze. Zawczasu uczcie modlitwy, rano pójcie słowem wiary. Ciężkie bo ciężkie jest życie. — Krzyż to pański, cierniów droga! Wzywajcie pomocy Bożej przeciw potędze szatańskiej, w kolebce krzyżem go zbrójcie, osłaniajcie modlitwami, każdej to rany lekarstwo, na wszelką nędzę ratunek.

Chwilę ucichł głos kapłana, a oko jego znużone i zbladłe patrzaniem na świat i ludzi, zaszło mu łzą srebrną, jak włos posiwiały. — Nikt jednak nie śmiał milczenia przerwać i świętej zadumy. A starzec usta otworzył i znowu szeptał po chwili:

„Dziwy cię w świecie czekają! Otworzysz oczy i znajdziesz na każdej ścianie, na piersi, na ustach każdych i czole Chrystusa znamię i imię... Ale napróżno, odwołać się do niego! Nikt ci już w imię to święte nie poda dłoni, ni wody, ani słowa pociechy, ni serca braterskiego! Zmarł dla nich Chrystus powtóre, ukrzyżowali go znowu, w niemym złożyli go grobie. A jeźli go wywołują, chcą Boga czynić wspólnikiem swych namiętności i szałów! W świętem ewangelij słowie dla nich kamień obrażenia, wyrwą z niej martwą literę, ducha wycisną żywego, a zimnem próchnem chcąc świecieć na nocnej swej fałszu drodze! Pójdziesz ze świętego domu w świat szukać w Chrystusie braci, a znajdziesz tylko skalanych, upadłe dzieci szatana, które po wodzie chrztu czystej, obmywają się w kałuży.

„Wielkie miłosierdzie Boże! któż wie, ty będziesz przykładem, ty mi będziesz nawróceniem, możeś już napiętnowany, a Bóg naznaczył w kolebce czoło twoje na mieszkanie wielkiej myśli, a usta na wieszczą pieśń nawrócenia!

„Może wśród ochrzczonych pogan, ty będziesz Janem, zwiastunem przyjścia ducha miłości, pokoju, ducha mądrości i zgody! Rośnij w mądrość, rośnij w siłę i w pokorę; a anioły niech ci szepczą u kolebki, co ty w życiu swem odśpiewasz zdumionej braci!!

* * *

Kolebko! kolebko, łoże największej zagadki — ty kołyszesz tajemnicę, a niema czoła, choćby było jak lód chłodne i jak marmur twarde, któreby schylając się nad tobą, nie zamarzyło, nie zadumało się, jakie tam ziarno choduje ta niema łupinka? Bohater to czy zbrodniarz?.. — prorok czy milczący brat bydlęcia? Człowiek czy niepostrzeżona cząstka tłumu? Owoc, który ma dojrzeć, czy kwiat przeznaczony na podcięcie wiosenne?

Napróżno myśl ludzka sili się, szuka znaków, szczeblów przyszłości, odgaduje i wróży. Drzwi stoją zaparte, a anioł z mieczem ognistym strzeże wnijścia do grodu tajemnicy.

Kolebko! tyś pączkiem zielonym, kryjącym barwy nieodgadnione. Długo kwiat stulony w tobie spoczywa, aż zaświeci słońce, pękną zasłonki i na świat listki wybiegną malowane.

Naprzód w świat wybiegło dziecię oczyma, patrzy niemi na cudne dzieło Boże, jeszcze ustek nie otwiera, chyba z bólu i ze łzami. I myśl się sama rozbudza w niem: zwolna, jak sieć pajęcza czepia się przedmiotów i osnuwa je w uroczystem milczeniu. Milczy dziecię, patrzy i płacze.

Ale wnet wybiegło w świat słówkiem! Nowa to życia epoka; myśl co zbierała się w łonie, na świat strzeliła, ze światem je spaja i ogniwem łączy niewidomem z milionami umarłych, z milionami żyjących, z przeszłością i z przyszłością całą.

W chwili gdy pierwsze słówko dziecię wybełkocze, ileż to radości w domu! Zbiegli się wszyscy żeby je usłyszeć, każą powtarzać, zdumione onieśmieliło się i milczy, jakby się samo głosu swojego ulękło, łza potoczyła się tylko. Znów kiedyś w śród ciszy, kiedy je matka sama lub niania słyszeć będzie, powtórzy to słowo pierwsze dziecina.

I poleciało w świat słowo, pytaniem, skargą, żądaniem westchnieniem, a drżąca warga co je wyrzekła, ozłociła się uśmiechem zwycięstwa. Poleciało na świat słowo, myśl z niem leci i wita wszystkie cuda ziemi, nurtuje przepaści, wzbija się na wyżyny, ciekawa, niecierpliwa, rwąc się ku otaczającemu. Słowo doleciało aż do boga i myśl za sobą pociąga, zstępuje do otchłani nicości i zagadło o życie samo.

O! w dzieciństwie myśl co chwila roztrąca się o wielkie zagadki, bije o zadania wieków, i dopiero później zwalana, bezsilna zanurza się w kałach i gnuśnieje w nich spoczywając. Któż się kiedy nie zafrasował odpowiadając na pytanie? Kto nie zaniemiał w życiu przed mądrością dziecięcia? W pytaniach dzieciny więcej jest często, niż w odpowiedziach starości. Z kolebki myśl śmielsza i raźniejsza, wprost do celu goni, a cel jej widny jeszcze.

Za oczyma, za słowem, zerwało się dziecię czynu, już czuje, już myśli, już pragnie, już mówi, już wyciągnęło ręce, postawiło nóżki... idzie — i pada!

Obraz sił ludzkich i życia.

Takim jest rozum nasz, takiemi drogi nasze; idziemy, padamy, płaczem, podnosim się i idziemy znowu, aż do tajemnic mogiły, aż do niemylnej śmierci. (G. C.)

Galerya wodzów w teraźniejszej wojnie.

9) Omer Basza.

Naczelny wódz wojsk tureckich.
(Dokończenie.)

Tu już rozszerzyło mu się przed myślą i chęcią pole nadziei, pole ambitnych natężeń. Rzecz dziwna, najmniej znacząca z jego zdolności, posłużyła mu w pierwszych krokach. Piękne jego pismo zaleciło go najwięcej. Został nauczycielem przy jednej z nowych szkółek wojskowych. Mając sam żyłkę żołnierską, starał się najwięcej o znajomości pomiędzy wojskowymi. A że się to działo w roku 1832, w którym po niepowodzeniach z Mehmedem Alim, brano się do wszelkich reform, mianowicie w wojsku przerabianem gwałtownie na stopę europejską, nic dziwnego, że wyższe zdolności Omera, znalazły pomału należyte ocenienie. Pomiędzy nowemi Omera znajomościami, był stary Seraskier Chosrew Pasza. Upodobał on sobie Omera, i zrobił go adjutantem przy sobie. Tu już zawód Omera staje się coraz łatwiejszy, coraz świetniej występujący z dotychczasowych ciemności. Chozrew Pasza zaprowadził go do Sułtana, który go wziął za nauczyciela pisania do syna, do dzisiejszego Sułtana Abdul-Medszyda. Chozrew Pasza ożenił go z bogatą córką Agi Janczarów, której był opiekunem, chociaż ojca w ostatniem powstaniu Janczarów stracić kazał. Od tej chwili poświęcił się zupełnie służbie wojskowej. Został majorem i najczynniej przykładał się do reorganizacyi wojska, służąc początkowie pod jenerałem Chrzanowskim, który wówczas zawiadował rzeczami wojennemi. Wysłany później do księstw Naddunajskich i Bulgaryi, w celu zdjęcia planów topograficznych, obznajmił się doskonale z temi samemi miejscami, które dziś są i mają być planem jego strategicznych poruszeń. To też na dzisiejszem placu bojowym, niema lasu, strumyka, bagna lub pagórka, którego by nie znał doskonale.

Ważniejszą komendę dano mu z powodu syryjskich niepokojów. Równie tam jak i później w Albanii i w Kurdystanie odznaczał się on zawsze energicznem postępowaniem. I wszędzie pokazał, że nie jest zwykłym renegatem. Gdzie tylko szło o poskromienie stronnictwa staro-tureckiego, przeciwnego reformom i nieprzyjaznego chrześcianom, niezważając na nieufność jaką Turcy mają zwykle dla renegatów, niechcąc się im jak to zwykle czynią renegaci pochlebiać uległością bierną, Omer przeciwnie występował jawnie naprzeciw temu stronnictwu, chrześcijan brał w opiekę i najenergiczniej bez wszelkiego względu, poskramiał, karał i usuwał wszelki ucisk niesprawiedliwy, jakiego się Turcy na chrześcianach dopuszczali.

W roku 1848 poznał się po raz pierwszy z Rossyanami. W czasie zajęcia Wołoszczyzny przez Moskwę i Turków on dowodził oddziałem tureckim, a Lüders oddziałem rossyjskim. Omer stał się nadzwyczaj popularnym, do czego prócz samych stosunków miejscowych, dających prym Turkom przed Moskwą, przyłożyło się najwięcej pojęcie swego stanowiska. Popularność ta, zwrócona na stronę turecką, istniejąca po dziś dzień, jest po większej części dziełem Omera. Wyratował on dla Wołochów swobody, jakie się wyratować dały, przez co rozszerzyło się zdanie o jego rewolucyjnych usposobieniach, zdanie zresztą, o które Turcy niewiele dbają. Najwięcej przyłożyło się do tego jedno ciekawe dosyć zdarzenie. Banda jakaś cyganów grała marsylankę i inne pieśni narodowe, za co została przez Moskwę sumarycznie i po rossyjsku skarana. Omer dowiedziawszy się o tem, kazał wojskowej swej bandzie muzycznej nauczyć się tych właśnie pieśni, i odtąd, gdy wojska tureckie szły lub wracały z ćwiczeń wojskowych, przechodząc po pod okna jenerała Lüdersa, dosadzali mu temi niemiłemi mu pieśniami. Lecz to nie było z jego strony schlebianiem stronnictwu rewolucyjnemu, które jest mu zupełnie obojętne; on chciał tylko pokazać zawsze i wszędzie, że nie Car, ale Sułtan jest właściwie panem kraju. Rossyanie zrozumieli tę nauczkę, i mimo całego z początku zżymania się, zaprzestali swoich samowolności w zakresie policyjnym i politycznym. Był on już wówczas jenerałem, a Sułtan był tak zadowolniony, że po powrocie jego z tamtąd zrobił go feldmarszałkiem, i dał mu order Driszan Medszydi pierwszej klasy i szablę honorową, diamentami obsadzoną. Najświetniejszym był dla niego rok 1851. Znane jest powstanie w Bośnii, której tureccy mieszkańce nowych reform znieść nie mogli, i marzyli może o niepodległem na kształt Serbii, własnem księstwie. Powstanie to rozszerzyło się w mgnieniu oka i stało się niebespiecznem, dzięki nieudolnym rozporządzeniom leniwego Tahir Baszy. Lecz skoro się pojawił Omer Basza z nieograniczonem pełnomocnictwem, postać rzeczy zmieniła się jakby cudem. W środek powstania wkraczając, osadził wszystkie punkta ważniejsze i obronne, porozdzielał hufce powstańców, pobił je i w stosunkowo krótkim czasie przemógł i uciszył powstanie. Chrześcijanie odetchnęli, a adres dziękczynny Franciszkanów zwrócony do niego, można uważać za wyraz zdania powszechnego.

Wyprawa na Montenegro w roku 1852 wywołała niemało zarzutów czynionych Omera zdolnościom wojskowym. Zarzuty te wszakże każdemu bezstronnemu okażą się bezzasadne. Pominąwszy to, że musiał wojnę rozpocząć w grudniu, a zatem w czasie najniedogodniejszym, i mieć do czynienia z ludem walecznym, którego cały kraj jest jedną warownią, wszystkie jego rosporządzenia, wszystkie miejsca jakie sobie obrał, wszystkie plany, które choć pomału, ale

przeprowadził z żelazną wytrwałością, świadczą o jego wielkich zdolnościach jako jenerała, jako wodza naczelnego.

Ktoby jeszcze wątpił o jego wyższem uzdatnieniu wojskowem, niech uważnie patrzy na toczącą się teraz nad Dunajem wojnę, a ujrzy ślady widoczne jego znakomitych strategicznych talentów. Wszystkie przepowiednie przyjaciół rossyjskich spełzły tak na niczem, jak i samychże Rossyan usiłowania. Jego całe stanowisko od czarnego morza, po granicę austryacką uzyskało uznanie wszystkich wojskowych. Jego ruchy w małej Wołoszczyźnie, wybór Kalafatu za główny punkt pierwszych działań, są tego niezaprzeczonym dowodem. A jeszcze większy nad to jest dowód w tem, co bywa zwykle w każdej wyprawie wojennej kamieniem probierczym zdolności jenerałów naprzeciw siebie stojących. Ten z nich jest niezaprzeczenie wyższym, który drugiego pociągnie mimowolnie, by szedł nie po swojej myśli, ale po myśli nieprzyjaciela, za jego musiał się ciągnąć ruchami. Owoż w tej wojnie nikt nie zaprzeczy, że tę rolę czynnika operacyjnego nie Gorczaków, ale Omer Basza wziął na siebie. I tę jeszcze wielką prawdziwego wodza własność posiada Omer, że się nie da wyprowadzić w pole przez nieprzyjaciela jego udanemi ruchami, co przeciwnie jemu się nieraz udało, mianowicie przy przejściu Dunaju, gdzie właśnie Rossyanie przez niego oszukani, zaniedbali tego właśnie stanowiska, o które jemu szło najwięcej. Dodać do tego należy, że doskonale pojął właściwości swoich własnych żołnierzy, i wojska nieprzyjacielskiego, co także jest niemałym dowodem, jego wyższości. W partyzantce i obronie miejsc warownych, Turcy są prawdziwi artyści; to też widzimy, jak wiele Omer Basza pobił i zdemoralizował wojska rossyjskie samemi partyzanckiemi napadami, i wycieczkami z fortec czynionemi.

Osobistość cała Omera Baszy jest pełna znaczenia. Chociaż nie wysoki, ale raczej silny i barczysty, ma on powierzchowność marcyalną, przeto jest żołnierzy i kobiet ulubieńcem. Nie jest wielkim czcicielem europejskich obyczajów, chociaż w domowem pożyciu zachował wiele zwyczajów i urządzeń niemieckich. Ale za to przyswoił sobie wszystkie lepsze Turków własności: wierność, uczciwość i bezinteresowność. Wojska którym przewodzi, ubóstwiają go, chociaż w żadnym wojsku tureckim taka jak u niego nie panuje karność surowa i bezwzględna; najwięcej do tego przykłada się jego powszechnie znana rycerska waleczność. Kilkoma mówi językami, mianowicie prócz tureckiego, mówi dobrze i płynnie po serbsku, niemiecku i włosku. W życiu prywatnem jest Omer Basha nadzwyczaj przyjemny, dla wszystkich uprzejmy i uprzedzający. Do płci pięknej ma wiele słabości (miał już jak twierdzą 10 żon), chociaż ostatniemi czasami wyrzekł się haremu zupełnie, i żyje zupełnie po europejsku z teraźniejszą żoną swoją, która jest niemka. Jest ona wcale nie ładna, ma rude włosy i piegi na twarzy, i była guwernantką u jakiegoś bojara w Bukareszcie. Ma córkę jedynaczkę z jednej ze swoich żon, która ma być bardzo dobrze wychowana. Pobiera pensye ogromne, bo do 6000 dukatów miesięcznie, ale nie mniej przeto położenie jego majątkowe nie jest zupełnie świetne. Ma talent robienia długów, które już Sułtan kilka razy popłacił za niego, i największe dary jego umiał zawsze roztrwonić. W gronie rodzinnem Omer Basza jest dosyć wesoły, szczery, otwarty i bez wszelkich pretensyj. Kiedy w czasie wyprawy na Bośnię, przyszedł na miejsce gdzie przed laty siedział płaczący, opuszczony, bez obówia, stanął i towarzyszom pokazując kamień, na którym wówczas siedział, opowiedział całe zdarzenie. Nieodstępną jego towarzyszką jest klacz arabska, która ma już lat 18; kosztuje go 18,000 piastrów, ale nie dałby jej za milion. Była ona z nim na wszystkich wyprawach, i jest do niego nadzwyczaj przywiązana. Bawi przy nim synowiec, który był pierwej rzemieślnikiem w Tryeście, a teraz jest pułkownikiem. Nie ma on wychowania wielkiego, ale za to wiele naturalnego zmysłu. Niedawno przyjechał także do niego brat aż z Litwy, który w roku 1831 był w wojsku polskiem.

Rozmaitość.

* Wydawca dziennika literackiego zapowiedział, iż skład dotychczasowej redakcyi jest zmieniony, i że głównie pozyskał kilku spółpracowników do rozbiorów i sprawozdań z pola tak polskiej jak i obcych literatur. Każdy, komu dobro literatury jest na sercu, cieszyć się powinien, iż to jedyne u nas pismo naukowe, zwraca się znowu ku przeznaczeniu swemu. Krytyki dzieł wychodzących i sprawozdania z pola literatury powinny bowiem być najważniejszą treścią podobnego dziennika.

Oprócz wchodzących do składu nowej redakcyi pisarzów, kilku literatów, którym chodzi o podniesienie dziennika literackiego, zobowiązało się wspierać stale swem piórem to pismo.

Gdy tak z jednej strony wydawca nie szczędzi kosztów, z drugiej strony pisarze nie ociągają się z pomocą, znajdzie się zapewne i dostateczna do utrzymania tego pisma liczba czytelników. Ludzi światłych, których zajmuje poważniejsza nauka, mamy w Galicyi nie mało. Dla tych Nowiny, przeznaczone dla ogółu większego publiczności, nie wystarczają i czują potrzebę dziennika poświęconego głównie rozbiorom i sprawozdaniom naukowoliterackim i pismu temu upaść zapewne nie dadzą, a to w chwili gdy właśnie ku lepszemu zmierza.

Już same imiona współpracowników jak p. p. Batowski, Bielowski, hr. Dzieduszycki Maurycy, Dr. Pilat, hr. Stadnicki, Szajnocha, Ujejski Kornel, Wagilewicz, Zacharyasiewicz Jan, pismu temu wstęp do wszystkich światłych czytelników wyjednać powinny.

*** Z pod Wybranówki.** Krążyły tu u nas wieści, iż zarząd szkoły agronomicznej ma być oddany człowiekowi, o którym rozmaite mają tu zdania, i w ogóle nie bardzo przychylne. Mocno więc ucieszyła mię wiadomość iż Towarzystwo gospodarskie zamyśla wezwać pana Pepłowskiego na dyrektora szkoły agronomicznej, iż wieści te były fałszywe. Lepszego wyboru uczynić nie można było. Będąc we Francyi poznałem pana Pepłowskiego bliżej. Był on podtenczas rządcą dóbr u jednego z bogatszych właścicieli francuskich. Podam wam niektóre data o nim. Po ukończeniu kursu agro-

nomicznego p. P. otrzymał dyplom elewa tej szkoły, a jako najcelniejszy uczeń medal złoty. Wtedy jeden z majętnych właścicieli francuskich zwrócił na niego swę uwagę, i swoim kosztem posyłał go przez lat dwa po najgłówniejszych gospodarstwach w Anglii i Francyi, aby się każdej gałęzi gospodarstwa praktycznie wyuczył. Potem objął p. P. zarząd dóbr u tegoż Francuza, czem zajmował się przez lat cztery. Z trzydziestu ubiegających się o posadę profesora chemii agronomicznej, on, cudzoziemiec, najlepiej odpisał konkurs. Od roku 1851 jest profesorem w Grignon a zarazem należy do zarządu dóbr zakładu.

Przyjechali od dnia 30. czerwca do 2. lipca do Lwowa:

PP. Balsch Grzegórz, z Krakowa. Chwalibóg Jan, z Lipowiec. hr. Wiesiołowski Michał, z Milanowa. hr. Fredro Edward Xawery, z Bachorza. Żurakowski Jan, z Zadarowa. Bobowski Leon, z Cykowa.

PP. Chrzanowski Ignacy, z Lubienia. Wolański Franciszek, z Lubienia. Wierzchowski Juliusz z Brodów. Obertyński Leopold, z Stronibab. Ghyka Konstanty książę, z Czerniowic. Bal Franciszek, z Tuligłów. Niezabitowski Napoleon, z Nakła. Szawłowski Tytus, z Sędziszowa. Smarzewski Franciszek, z Tarnopola.

PP. Lanckoroński Stanisław hr., z Komarna. Sozański Sylwester, z Kornalowic. Morawski Roman, z Tarnopola. Malczewski Juliusz, z Skwarzawy. Bocheński Józef, z Przemyśla. Lewicki Ignacy ze Stryja.

Wyjechali od dnia 30. czerwca do 2. lipca ze Lwowa:

PP. Drohojowski Kazimierz hr., do Balic. Barylewicz Erazm, do Płotycza. Sozański Wincenty, do Czortkowa. Winnicki Jan, do Brzeżan. Starzyński Leopold hr., do Krakowa.

PP. Kriegshaber Antoni, do Brzeżan. Olszewski Karol, do Podhajec. Komorowski Cypryan hr., do Lubienia. Rozwadowski Wiktor, do Głęboczka.

PP. Dzieduszycki Aleksander hr., do Izydorówki. Orłowski Feliks, do Zagrobelli. Wolański Wojciech, do Złoczowa.

Dzisiejszy. **Kurs lwowski.**		Gotowką			towarem.		
Dukat holenderski	złr.	6	kr.	5	złr.	6	kr. 10.
Dukat cesarski	„	6	„	10	„	6	„ 14
Półimperyał zł. rosyjski	„	10	„	38	„	10	„ 44.
Rubel srebrny rosyjski	„	2	„	3	„	2	„ 5.
Talar pruski	„	1	„	57	„	2	„ —.
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	29	„	1	„ 30
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. . . .	„	91	„	50	„	92	„ 10.

Kurs telegrafowany z Wiednia wczoraj o 2 g. popołud.

Amszterdam.	$105\frac{1}{2}$.	Marsylia	—.
Augsburg za 100 złr.	$126\frac{3}{4}$.	Medyolan za 300 lirów	$124\frac{1}{2}$.
Bukareszt	—.	Paryż za 300 franków	148.
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy . . .	$125\frac{3}{4}$.	Agio duk. ces.	—
Genua.	—.	Srebra agio	26
Hamburg za 100 tal. banco.	93.	Pożyczka 5% 86.	$4\frac{1}{2}$ $75\frac{3}{4}$.
Konstantynopol	$33\frac{1}{2}$.	Pożyczka lit. B.	—
Liwurno.	—.	Akcye banku	1252.
Londyn za 1 funt szterl.	12. 19.	Kolej północna	1670.
		Obl. ind. . . . . 5%.	—

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**

Doniesienia.